Niech bogaci Europejczycy *marnują na zdrowie*
jak najwięcej pieniędzy, byle choć w części wydawali je u nas

Biała turystyka

Ludzie najpierw marnują zdrowie, aby dojść do pieniędzy, a potem marnują pieniądze, aby dojść do zdrowia – to popularne powiedzenie stwarza olbrzymie perspektywy dla przemysłu zdrowotnego w Polsce (patrz: *cover*). Niech bogaci Europejczycy *marnują na zdrowie* jak najwięcej pieniędzy, byle choć w części wydawali je u nas. Mamy po temu same atuty: dobrze wykształconych lekarzy (którzy sprawdzają się w Europie), w dodatku – w stosunku do standardów zachodnich – niesłychanie tanich, dostęp do dobrego sprzętu i przede wszystkim głodnych sukcesu menedżerów. Teoretycznie wystarczyłoby więc zainwestować trochę w marketing, dogadać się z zachodnimi kasami chorych, nieco doinwestować co ładniejsze placówki i do systemu nie tylko wpłynęłyby dodatkowe pieniądze, ale również radykalnie odmieniłby się obraz rodzimej służby zdrowia. Tak zresztą dzieje się obecnie w całej Europie – jak piszemy w naszych artykułach w tym numerze *Menedżera Zdrowia* – mamy do czynienia z prawdziwymi migracjami lekarzy, a także w coraz większym stopniu – pacjentów (na leczenie w krajach ościennych – wg badań – zdecydowałoby się 50 proc. Niemców, 73 proc. Brytyjczyków i Holendrów, a ponad 75 proc. Szwedów).

Już teraz prawdziwy *boom* przeżywają prywatne kliniki przy zachodniej granicy oraz na Śląsku. Jak pisze nasz autor, w tym roku *turyści medyczni* wydadzą w Polsce już blisko 80 mln dolarów. A gdyby nasz system i urzędnicy NFZ byli bardziej elastyczni, część tej kwoty zarobiłyby również placówki publiczne.

Czy więc wykorzystamy ten czas? Czy nasi decydenci zdrowotni przestaną biadolić, a wezmą się za stworzenie warunków do zarobienia pieniędzy leżących na ulicy? Bo na razie efektem ich radosnej twórczości jest to, że marnotrawimy nie tylko pieniądze Polaków, ale i zdrowie.

Janusz Michalak
redaktor naczelny

W sytuacji kryzysowej, w kraju wstrząsanym dotkliwymi protestami służby zdrowia,
kolejni rezydenci pałacu przy ul. Miodowej w Warszawie nie robią nic!

Jak zmieniać, aby nic nie zmienić

Nadszedł okres wakacyjny. Czas odpoczynku, relaksu, lepszego nastroju i pięknej, słonecznej pogody. A więc mogłoby się wydawać, że zapanował okres odprężenia i beztroski. Niestety, nawet Peter Drucker, guru zarządzania, autor znakomitej książki *Zarządzanie w burzliwych czasach*, nie potrafił wyobrazić sobie sytuacji, z jaką w Polsce mamy do czynienia od wielu lat. Peter Drucker proponuje bowiem w sytuacjach kryzysowych podjęcie wielu różnorodnych działań, które pozwoliłyby wyjść z najtrudniejszych tarapatów. Nie wpadł jednak na genialne w swojej prostocie rozwiązanie, które jest stałą praktyką kolejnych szefów resortu zdrowia. W sytuacji kryzysowej, w kraju wstrząsanym dotkliwymi protestami służby zdrowia, kolejni rezydenci pałacu przy ul. Miodowej w Warszawie nie robią nic! Przepraszam, bo to nie jest jednak do końca prawda – ostatnio padają obietnice, że będzie lepiej za 7 lat (ostatnio już mówi się nawet o 2–3 latach). W kraju, w którym kadencja piastowania urzędu ministra zdrowia trwa zazwyczaj rok, a praktycznie nie przekracza 2 lat, obietnice takie są niezmiernie krzepiące. Rząd z premierem na czele obiecywał i uspokajał, iż 30-proc. podwyżka wynagrodzeń nastąpi od 1 października 2006 r. Lecz premier nie zdążył jej zaakceptować, bo złożył dymisję. Czy nowy premier dotrzyma obietnic składanych przez swego poprzednika? Czy władze, a zwłaszcza biedni pacjenci zdają sobie sprawę, co może nastąpić w październiku w przypadku niespełnienia tych obietnic? Oczywiście, może się zdarzyć, iż decyzje Sejmu i plany finansowe NFZ pozwolą na uruchomienie zapowiadanych podwyżek. Mam nadzieję, podobnie jak miliony obywateli, że tak się stanie. Lecz tu rodzi się pytanie: jeśli normalnie nic się nie robi, to dlaczego nagle miałoby się wydarzyć coś, co zaprzeczyłoby wszechwładnej w naszym kraju regule NICNIEROBIENIA?

Jacek Łukomski
przewodniczący Kolegium Redakcyjnego